

„Opowieść lipy”

Jestem lipą rosnącą przed kościołem p.w. Najświętszej Maryi Panny w Chechle. Mam 300 lat, a moja historia życia wystarczyłaby na napisanie niejednej opowieści o drzewie. Przeżyłam wiele smutnych i wesołych chwil, którymi chciałabym się podzielić.

Bardzo dobrze pamiętam swój początek. Posadził mnie ksiądz, który był proboszczem tutejszej parafii. Wybrał mnie spośród innych sadzonek i w sobotę jeszcze przed mszą świętą własnorecznie wsadził mnie do ziemi w obecności zebranych wiernych. Nie zapomnę słów, które wtedy wypowiedział do swoich parafian:

- A teraz lipo rośnij i zachwycaj nas swym pięknym widokiem! Pragnę, aby ludzie idący do kościoła mogli widzieć cię już z daleka i zachwycać się tobą.

Byłam wtedy bardzo szczęśliwa i chciałam czym prędzej poznać otaczający mnie świat.

Na początku byłam małą, niepozorną sadzonką. Rosłam wtedy z dala od muru kościelnego, a moje gałązki były cienkie i wiotkie. Niecierpliwiłam się, ponieważ chciałam być dużym, potężnym drzewem. Nie wiedziałam jednak, kiedy to nastąpi. Myślałam, że może za tydzień, a może za rok? Tak więc czekałam i czekałam. Powoli stawałam się coraz większa. Moje delikatne gałązki zostały zastąpione potężnymi gałęziami, a liści na każdej z nich było co niemiara. Z roku na rok przybywało mi ich coraz więcej, a wyglądały niczym serduszka. Byłam dumna, że od mojej nazwy wywodzi się nazwa miesiąca lipiec. Po jakimś czasie, gdy byłam już duża, ptaszki znalazły sobie u mnie schronienie. Uwielbiałam ich świergot i słuchałam pięknego śpiewu przeplatanej melodią organów kościelnych. Codziennie byłam budzona przez dzwony kościelne i obserwowałam ludzi udających się do kościoła na poranną mszę. Z biegiem lat mój pień stawał się coraz większy, a jednocześnie bardziej kruchy, aż w końcu spróchniał. Zrobiła się duża dziupla, w której chowali się chłopcy.

Zmieniałam się z upływem lat i stuleci. Byłam świadkiem budowy nowego kościoła, ważnych wydarzeń historycznych oraz świąt parafialnych, odpustów i uroczystych procesji. Pamiętam lata świetności szlacheckiej, upadku Rzeczypospolitej i wojen, które ogarnęły Europę, a także małą wioskę, w której mieszkam. Widziałam partyzantów, którzy na plebani szukali schronienia, a w kościele pocieszenia. Wraz ze zmieniającymi się porami roku stawałam się nie tylko coraz większa, ale zmieniał się także mój wygląd. Najbardziej lubiłam wiosnę, gdy zazieleniłam się i rosłam coraz wyżej. Wtedy wszystko budziło się do życia po zimowym śnie. Słońce powoli przedzierało się przez chmury i zaczynał topnieć śnieg, który zamieniał się w kałużę.

Moje gałęzie sięgały już muru kościelnego, a ja unosiłam się już ponad basztami, sięgając dachu kościoła. Potem rozkwitałam białymi kwiatuskami, a ich silna woń wabiła liczne pszczoły. Przychodzili wtedy do mnie ludzie i zbierali kwiatki, które potem suszyli niczym zioła. Parzyli z nich zdrową herbatkę i pili w czasie choroby. Nie było wtedy lepszego

lekarstwa na przeziębienia. Potem przychodziła jesień, która malowała mnie na różne kolory. Moje listki nie były już zielone, jak podczas wiosny i lata, tylko żółte, czerwone, brązowe i bordowe, tworząc piękny kobierzec. Niestety, nie były one długo na moich gałązkach, ponieważ wiatr zaczynał je zrywać i targać po świecie. Pojawiały się burzowe chmury i porywisty wiatr, przez który moje gałązki są wykręcone do granic możliwości, a wierzcie, że nie jest to przyjemne. Wreszcie zostałam zupełnie bez listków niczym nagi człowiek. Wtedy wiedziałam, że powoli nadchodzi zima, a ona jest dla mnie najgorszą ze wszystkich pór roku. Było strasznie zimno, a na dodatek pojawiał się śnieg, który pokrywał moje gałęzie. Nieraz było go tak dużo, że słabsze gałęzie łamały się z trzaskiem.

Dziś wyglądam całkiem inaczej niż na samym początku. Nie tylko urosłam, ale stałam się potężnym drzewem. I tak by pewnie zostało, gdyby nie pewne zdarzenie. Miało ono miejsce w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

Pamiętam, że był wtedy jesienny dzień i trwała ogromna nawałnica. Deszcz lał jak z cebra, a potężna wichura, wrywała małe drzewka z ziemi i łamała gałęzie pobliskich drzew. Przerażające grzmoty i błyskawice przesywały niebo czarne od chmur. Byłam przerażona i bałam się potężnej burzy. Wiedziałam, że jest to żywioł, któremu nawet ja, wielowiekowe drzewo, nie może stawić czoła. Moje potężne korzenie mocno trzymały się ziemi i nie dały się zdmuchnąć wiatrowi. Było to dosyć trudne, ale udało się. W pewnym momencie, gdy niczego się nie spodziewałam, trafił mnie piorun i poczułam, że to już mój koniec i że zaraz się przewrócę. Jednak resztkami sił walczyłam z żywiołem. Po burzy przyszedł do mnie ksiądz, aby ocenić straty. Widok był przerażający: połamane gałęzie, pęknięty pień drzewa. Proboszcz był smutny i nie wiedział, co ma ze mną począć. Inni ludzie też bardzo ubolewali, ponieważ mnie lubili i nie chcieli, aby mnie ścięto.

Następnego dnia ksiądz poprosił wiernych o pomoc, aby mnie uratować. Ludzie szybko zareagowali i postanowili, że do pnia wleją mi beton. Od razu zabrali się do pracy, nie czekając na kolejną burzę. Praca ludzi nie poszła na marne, ponieważ zostałam uratowana. Tego dnia czułam się najszcześliwsza na świecie, ponieważ bardzo przywiązałam się do miejsca, w którym rosłam i za nic w świecie nie chciałam go opuścić.

Bardzo lubię wspominać stare historie, kiedy to byłam jeszcze młodą lipą. Dzisiaj odwiedzają mnie liczni turyści, zwiedzając nasz zabytkowy barokowy kościół. Tutejsi mieszkańcy szczycą się mną i dbają o mnie. Teraz jestem już pomnikiem przyrody i dumnie goszczę na zdjęciach wielu folderów przyrodniczych Małopolski.